

się przyznać do zbrodni nawet, uległ tedy i Szarocki, ale miał na tyle przytomności, ażeby się zabezpieczyć przed złemi następstwami i spytał z prośbą i wahaniem:

— A nie będziesz się gniewała?

— Nie.

— I będziesz taka dobra, jak zawsze?

— Będę.

— No, więc ona namawiała mnie istotnie do powrotu, ale ja z obawy plotek odmówiłem.

— A gdzie pożegnałeś się z nią?

— Na polanie.

— No, już wiem wszystko, — odsunęła się od niego, — i nie gniewaj się, ale jesteś co najmniej naiwny, jak dziecko w kolebce. I to ty, poeta, człowiek inteligentny, dałeś się takiej Mniewskiej wywieść w pole? I nic nie rozumiałeś! Na niczem się nie poznałeś! A przecież dziesięcioletnia dziewczynka poznałaby się na jej niezręcznej a tak podstępnej grze, a ty, jak jagnię poszedłeś pod nóż.

Zarzuty te obraziły ambicję Szarockiego, najpierw dlatego, że sam istotnie nie od razu uległ pani Mniewskiej i przewidywał plotki, a następnie bólało go, że dał się wyprowadzić w pole i że Łotuska miała rację. Nachmurzył się tedy, sponępniał i rzekł obrażonym głosem:

— Ja się na intrygach nie znam. Przychodzi twoja dobra znajoma, dopytuje się o ciebie z wielkim współczuciem, radzi, prosi i namawia, ażeby nie zostawiał ciebie samą, podaje lekarstwo, cóż miałem zrobić?

— Naturalnie uledez, — zaśmiała się ironicznie, — i narazić mnie na plotki i obmowę.

— Może dodasz, że taki był mój plan czy zamiar, proszę cię, pozwól sobie, — zawołał gniewnie.

— Tak, czy nie tak, na jedno wychodzi, — powiedziała przygnębiona, — teraz dopiero użyj na mnie. I co tu począć? co zrobić?

On, widząc jej smutek, zapomniał o swym gniewie i doradzał:

— A gdybyśmy tak razem pojechali do nich? Jak myślisz?

— Także pomysli! — zawołała rozdrażniona, — ażeby wszyscy znajomi i nieznajomi dowiedzieli się, że latałeś po mnie i przywiozłeś. A może rozgłosisz, że pomógł mi ten pyramidon tej infrygantki?

— No tak, to był zły pomysł, — powiedział pokornie, przestraszony jej gniewem, i po chwili milczenia dodał: a gdybym ja sam pojechał?

— Na co? Poco? Czy na to, ażeby pani Mniewska spytała się przy wszystkich, czy moja migrena ustąpiła? Czy poskutkowało jej lekarstwo? — drwiła z niego — i jakbyś ty wyglądał? Co odpowiedziałbyś na krzyżowe pytania? Skompromitowałbyś mnie jeszcze bardziej. Nie! Dostyc mam ciebie!

— I ja to widzę, — wstał i kłaniając się ceremonialnie, rzekł: — żegnam panią, — szukał kapelusza.

— A to co nowego? — zawołała gniewnie, — nie dość, że nabroiłeś, jeszcze się obrażasz? Zostań!

— Daruję pani, ale nie zostanę. Jeśli moje najlepsze chęci i zamiary narażają panią na obmowy, plotki... wolę się usunąć zupełnie, — złożył ukłon głęboki, wyprostował się i z twarzą smutną, przygnębiającą, powiedział tragicznym głosem: — żegnam panią.

Patrzała na niego zdziwiona i rozżalona.

— Heniu! — powiedziała czule.

— Idę! Pójdę w góry, w turnie i wirchy. Ciebie jedną kochałem nad życie! Tyś była moim natchnieniem, poezją, czarodziejską królową i gdy ty mnie odrzucasz, co mi po sławie? po życiu? po cudach poezji?

— Więc to ja ciebie odrzucam? — zawołała po przez łzy, — to ty, niewdzięczny, za moją miłość, poświęcenie, grozisz mi, męczysz, upokarzasz. Cóż mogę dla ciebie więcej uczynić? I czego ty się gniewasz?

— Ja się wcale nie gniewam, — stał z kapeluszem w ręku, — ale jeśli mówisz, że masz mnie dosyć, co mam zrobić?

— Ach, jakiś ty niemądry! — zbliżyła się, pocałowała, odebrała kapelusz, który rzuciła o ścianę tak, że wpadł za łóżko, i wzięwszy go za rękę, poprowadziła do kozetki, mówiąc: — siadaj i przeproś mnie, — podała mu ładne ręce do pocałunku.

— Każesz, to przepraszam, — całował i pieścił jej ręce, — ale za co, to nie wiem, ja naprawdę miałem jak najlepsze chęci...

— już nie mówmy o tem, — zasłoniła mu usta dłonią, — już ja sobie poradzę z tą Mniewską.

— I jak?

— Powiem, że wybornie udał się jej podstęp, ale nie mogłam korzystać z twego towarzystwa, bo mnie głowa bolała, a ty nie mówiłeś o niczem innym, tylko zachwycałeś się nią. Ona w to uwierzy i będzie się cieszyła twojem uwielbieniem. A możebyś napisał jakiś wierszyk dla niej?

— Ach, nie! Dla ciebie gotów jestem każdej chwili, bo tyś mem natchnieniem i odbieram słodką nagrodę, — uśmiechnął się do niej.



— Bądź grzeczny i opowiedz, co robiłeś, z kim byłeś?

— Fe, jaki ty materyalista, — zaśmiała się, a on objął ją wpół i przyciągał ku sobie.

Wywinęła mu się i upomniała go:

— Obiecałeś być grzeczny, — a widząc, że się zachmurzył: — jestem dziś taka zdenerwowana, wiesz, prześladowuje mnie dziś obraz mego męża, nie mogę się go pozbyć.

— Ach, urojenie, nic więcej.

— I ja to wiem, ale mimo to, on mnie nie opuszcza... Powiedz jakiś piękny wiersz, bardzo lubię twoją poezję.

Szarockiemu to bardzo pochlebiło, zamyślił się i po chwili rzekł:

— Właściwie to nie mój wiersz, ale jest w nim coś, co odurza, jest siła i ogromna plastyka.

— Powiedz! Powiedz! — prosiła.

Ochrząknął i zaczął posępnym głosem, oparłszy głowę na dłoń:

„W wirydarzu zbrakło już  
Granatowych, ciemnych róż.  
Lecz nie zbrakło jeszcze lez...  
Adamastor — Rozamunda.

Hej, piorunie! wichrom wólrz!  
Już wypita trucizna kruż!  
Wkrótce zbraknie także lez...  
Jak żałośnie zawył pies“.

— Bardzo piękne, — udawała zachwyconą, — ale wiesz, ten twój erotyk przecudny...

I zaczęła się rozmowa, w której ona przechwalała jego wiersze, a on z odpowiednią skromnością zastrzegał się przeciw zbyt niemu zachwytem.

I było im tak dobrze, tak miło w opustoszałym zakładzie, gdyż i służba, korzystając z nieobecności gości, używała wywczasu. Portyer poszedł się zdrzemnąć do swej izdebki, a pomocnik jego spał w wygodnym fotelu w westibulu i nie słyszał, że dorożka stanęła w podjeździe, wysiadł z niej gość, wszedł do westibulu, a nie widząc służby, zawołał zgorzsony:

— Hej! jest tu kto! — a spostrzegłszy wyrostka w liberyi, śpiącego w fotelu, szarpnął go za ramię krzyżąc: — Nie słyszysz, gamoniu!

Chłopak zerwał się, utarł kufakiem zaspane oczy i powiedział odruchowo:

— Słucham, jaśnie panie!

— Nie słuchasz, bo śpisz. Idź, zabierz rzeczy z fiakra.

— Chłopak zbiegł do podjazdu, a przybyły gość stanął przed wielkim, ściennym lustrem i zaczął pilnie przyglądać się sobie.

Odbicie jego osoby nie było zbyt pochlebne. Był to wysoki, kościsty i chudy, łysy pan, z twarzą pooraną zmarszczkami. Około ust miał wyraz gorczy i cierpienia, usta sinawe, gotowe zawsze do uśmiechu drwiącego, a z pod krzaczastych brwi świeciły małe, niebieskawe, klujące oczy. Na łysej głowie resztki włosów, a na górnej wardze małe przycięte blond wąsy. Ubranie czarne, jak u pastora, zdawało się, że nie było robione na niego, tak wisiało na kanciastych ramionach, a spodnie, jakkolwiek wąskie, chwiały się na wszystkie strony, nie mogąc znaleźć oparcia na suchych nogach, zakończonych wielkimi stopami.

Gość przyglądał ręką resztki włosów, poprawił kołnierzyk na chudej, żyłastej szyi z wielką grdyką, wyprostował pomięty, jasny krawat i uśmiechnął się do siebie, pokazując żółte, szerokie zęby. Uśmiech ten był raczej grymasem, nie wiadomo czy zadowolenia, czy też drwin.

— Gdzie portyer? — zwrócił się do chłopaka, który przyniósł ręczny kuferek i walizę dość wielką.

— W tej chwili jaśnie panie, — pobiegł w głąb zakładu.

Portyer przyszedł pospiesznie i kłaniając się pokornie, przemówił:

— Całuję rączki jaśnie pana.

— Co za porządek u was? — gromił go, — przyjeżdżam, pustki, nikogo nie można się doprosić.

— Prawie wszyscy goście wybrali się dziś na wycieczkę.

— Czy i pani Łotuska?

— Nie wiem, jaśnie panie... zaraz zapytam pokojówki.

— Dobrze.

Portyer zatelefonował na drugie piętro, dzwonił kilkakrotnie, zanim zgłosił się ktoś ze służby, który zawołał pokojówkę do telefonu. Portyer wysłuchał odpowiedzi i rzekł z ukłonem:

— Jaśnie pani chora, ma migrenę.

— Weźmiesz ten ręczny kuferek, — rozkazał gość chłopcu, — pojedziesz windą ze mną i wskażesz mi numer pani Łotuskiej. Kufer później przyniesiesz.

Na drugim piętrze kazał iść przodem chłopcu, który stanął przed drzwiami i zapukał:

— Kto tam? — zawołał głos niewieści.

Przybyły gość nacisnął klamkę, otworzył drzwi szeroko i ujrzał ich dwoje, siedzących na kozetce.

— Ach, to ty, Jasiu! — zerwała się z kozetki i rozpromieniona pobiegła na spotkanie. — Jak to szczęśliwie, że mnie zastałeś! — wspinała się na palce, ażeby go ucałować.

(Ciąg dalszy nastąpi).